

6
SŁWIATOPEŁK KARPIŃSKI

TRZYNAŚCIE WIERSZY

WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Państwowe Gimnazjum
im. kr. ZYGMUNTA AUGUSTA
w Białymstoku
BIBLIOTEKA GIMNAZJALNA
Inwent. 4854 №
Dział

TRZYNAŚCIE WIERSZY

1681

Tegoż autora:

„LUDZIE WŚRÓD LUDZI” — K. Neumiller. Łódź, 1932.

„MIESZCZAŃSKI POEMAT” — Wydawnictwo J. Przeworskiego
Warszawa 1935.

W przygotowaniu:

„KREDĄ NA PARKANIE” — wybór satyr.

884-1.

V
1854 L
ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

TRZYNAŚCIE WIERSZY



884-1

74

WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO



INWOKACJA

Po twarzy mnie bije poezja i bólem piecze mi twarz.
W oczach wiruje i pęka rozkołysany świat.
Myśl się przeryła, jak tunel przez przestrzeń i przez czas.
Jestem tu sto lat temu, albo za dwieście lat.

Na wartkiej, kamiennej drodze, przeprutej przez lasy i blask,
wyboje podają z ust do ust karocę wtuloną w pęd.
Poprawiasz obłok peruki, zdejmując dzwoniący kask.
Jeszcze trzy mile miłości i krzyk i kopyta i skręt.

W puklach kurzawy zgubiłem moje znaczone karty.
Warszawo pijaństw i świtów! Wargi suche, jak talk!
Szpado złamana u gardy, jak strumień od źródła oddarty!
Jadę przez krzewy kolorów, prosto pod chrzęsty walk.

Młodzieńcy, jak do komunji, kornie kłękają na starcie.
Spod stóp rozwija się bieżnia, jak wstążka, jak Wisła modra.
Życie dwudziestoletnie na innej złożyłem karcie
i dłonie na inne przysięgi i wargi na inne biodra.

Blyskiem przez szpik kręgosłupów, świstem przez mroźne
[szkielety,
wirem w mózgi klaszczące, igłą w spęczniałe jądra,
wbijam po rękojeści rymów moich sztylety,
aż krwią ocieka, jak rzeźnik ta mowa nowa i mądra.

O! Publicysto siwy, biegły w swoim rzemiośle,
każesz wyciągnąć mi dłoń przez słotę bieżących dni,
zagałdać w twarze przechodniów i w usta całować radośnie,
żeby unieść na wargach smak czarnej, ulicznej krwi.

Mam zdrzewić się z rzeczywistością i nowe bitwy wyśpiewać,
lecz pokaż mi owe zwycięstwa, po których nie będzie się
[ziewać,
a strofy pokruszę o próg, trzykrotnie przekreślę ich piękno,
do brody twej tłumy przywidzę i tłumy przed brodą uklękna.

Lub oprzyj swe pióro o ścianę, jak murarz wieczorny kielnię
I zerwij z twarzy patrzącej ów uśmiech biały i starczy.
Daj pieśniom się smarzyć na wichrach. Na nic tu wasze
[patelnie.
Niech popiół zostanie na tacy i ciało bezwładne na tarczy.

Martwa kobieta o oczach, które się rąbie toporem,
nie zrodzi dziewczyny tańczącej walca przez obie półkule.
Sławie Klio, Euterpe, Talję i Terpsychorę,
Polimnję, Uranję, Kaljope, i słodką Erato... najczulej.

One cię głaszcząc płasami, wwiada za ręce w ogrody,
gdzie pieśnią drżą liście frunące, a brzozy czmychają zza
[brzóz.
Wstąp do mych gajów lirycznych, niby strudzony na gody.
Tędy cię wyprowadzę nad brzegi epickich burz!

SONET O NICOŚCI

O krok się przed dzieciństwem skończyła nieznacznie..
Kołys wirów... i trwoga, że znowu się zacznie.
Pod nurtem snów lipcowych bije o powierzchnię.
Usta ludzi bezsennych... A jeśli nie pierzchnie?

Gdy rozchylisz swe myśli, jak patrzący krzewy,
dojrzysz kamienną kąpiel i czarne rozlewy.
Ciało zakwitnie śmiercią, ale cierpkie życie
czy odrzuci, jak obłok, by zniknąć w błękitnie?

Ziemia przez żywokształty żarłocznie porośla,
w cieniu śmierci złożyła swe pluszczące wiosła,
I czekamy we frakach na nasze odjazdy.

W lotnych trumnach, jak w łodziach pod piachem ojczyzny.
Karmiony żyzną ziemią, jakże jesteś żyzny.
Księżyc maską pośmiertną straszy młode gwiazdy.

PRZEBUDZENIE

Słońce zwisa znad chłodów, jak jabłko z jabłoni.
Ptactwo nad snami goni blasków okruszyny.
A przez śliwkową nagość bezwładnej dziewczyny,
poszła czerwień zbudzenia od stóp aż do dłoni.

Jej wargi rozcisnęły pierwszy uśmiech siny,
płynący lilją świtu po wczorajszej toni.
Poranny pocałunek, jak owoc się płoni,
zaplątany w zielone ciała, jak w rośliny.

Na talerzach cytryny błękitnieją złote.
Patrzymy zadziwieni na słoneczną słotę.
Myśli jeszcze są senne, usta już gorące.

Jakże kwietnie i lotnie wszystko się nazywa,
kiedy pod boscie nogi jeszcze raz podpływa,
dzień niosący nas dwoje, jak tratwa, pod słońce.

Sosny schodzą stadami, by się kąpać w falach,
 Aż barwne domki płyną przez piaszczyste życie
 Dwa błękity wpatrzyły się w swoje odbicie,
 i żaglówka, jak mewa, buja po oddalach.

Fale pienia po niebach białe błyskawice,
 które w skrzypach konarów pachną na rozdrożu.
 Ryby skaczą w igliwiu, a wiewiórki w morzu.
 Lasy w bursztyn obfite, jak Bałtyk w żywicy.

Nad szumiącą zielenią, nad płynnym granatem,
 żytnie słońce rumiano nucąc się wypieka.
 I rozbarwią się domki nim je cień ogarnie.

Jeszcze popiół wybrzeża pachnie pełnym latem,
 lecz niebo ma smak nocy i blaskiem obleka
 Twoje oczy i gwiazdy i morską latarnię.

Łąka na wieczór dolin rozwełniła trawy.
 Kaczeńce włożą w rowy, a owce na wzgórze.
 Oto ruń pod powierzchnię zmierzchu się zanurza.
 Owce płyną na wyspach poprzez czarne stawy.

Obłoki zeszyły stadem na sine podnóże.
 Znaczą drogę do obór puklami kurzawy.
 Owce czkają kwiatami męcząc swoje sprawy.
 Księżyc zapala wzgórze i ścieżki rozsmuża.

A wilki dzwonią cwałem przez srebrne manowce,
 pobłyskują, jak światła wsi przyplływającej,
 na obłoki schodzące z zamarych zieleńców.

Niby podarte kępy lśnią pożarte owce,
 wilki pławią w księżycu swe pyski dymiące,
 z których zwisły, jak wąsy, bukiety kaczeńców.

Płodni, jak śliwy szczęśliwe, prości, jak gorzkie sośniny
i pracowici, jak brzozy, które po piachach się pasa,
wiodą po polach, po gajach swoje zielone godziny,
aż ziemi ciała oddadzą, a dusze skrzypiącym lasom.

Zyją wrzeźbiając korzenie, w gnil, w strumieniu i w głazy.
Na wichrach szemrzą, jak deszcze. Od nocy drżą księżycowej.
Jak drzewa płyną wraz z glebą przez wieki i krajobrazy.
A kiedy się zbijają w gromady — to stoją jak mroczne
[dąbrowy.

Stare dęby się walą z pułapu puszczy na dno
z trzaskiem suchych gałęzi, z hukiem omszałych trzonów.
I leżą, jak barki w moczarach paprotnie pożarte rdzą,
zanim w śmierci zielonej i urodzajnej utoną.

Obrosną jagodą i grzybem, nakryją się kopcem jesieni,
pogrążą w muł uroczyska, będą zapadać się wgłęb.
Na wiosnę zieleń gąbczasta tłusto wyrośnie nad niemi
i słońce zacznie mrzyć mroźnie na sinych oparów kłąb.

Potem ziemia nawarstwi pokoleń żyzne nawierzchnie.
O! Pogrzebane cmentarze, pieczary i torfowiska!
Szum waszych myśli i liści znieruchomieje boleśnie,
rozwieją się mroczne baśni i ognik, co nocą rozbłyśka.

A z gleby wznastają młodzi, nowiną pastuszą i śpiewną.
Rozświergotani, jak zagaj, nim skamieniają, jak bór.
Oto budulec ojczyzny — ludzkie, sękatę, drewno,
Na krokwie, na progi, na stropy — na modrzewiowy dwór.

Głęboko jest węgiel i nafta. Wysoko historia śpiewa.
Minęły gaje i wioski, nikt owych nazw, ani imion nie zna.
Otośmy ludzie nieznan, nieznan zwierzęta i drzewa.
Pomiędzy wierszami dziejów jest miłość i śmierć i poezja.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Już w sen odpływam z łbem na dłoni
i umierają moje oczy.

Czaszka, jak garnek przechylony
broczy.

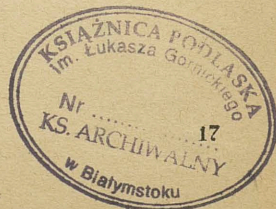
Po księżycowym, drętym chłodzie
srebrzy przez noc, przez dno jesieni.

Jak kręgi po umarłej wodzie
myśli rozlały się w przestrzeni.

Zamigotały chrzęstem blachy,
jedyny raz od owej fali,
latarnie, bruki, pietra, dachy,
zaułki zamrożone w dali.

Zadrżały szyby w twoim domu
i załamały się, jak atlas,
jedyny raz od owej fali.

Wyrosłaś w oknie pokryjomu
i nie zapalasz światła.
W otwartą noc się czujnie wczytasz,
popłyniesz z drzew szelestem
i nawet siebie nie zapytasz,
a pojmiesz, że tu jestem,
że drgnąłem w ziębiach mojej toni,
światlistym słupem z dna się wznoszę,
i mknę strzelisty a uśpiony,
roślinne lwy, korale, płoszę.
Dziurawię łbem przestworza grząskie
i muszę wgórę tak pionowo.
Rozwijam pęd jak srebrną wstążkę,
Już jest mi granatowo!
Już granat łśni zielenią ciemną,
już zimna zieleń jest pode mną.
Lecę w ciśnienia coraz bledsze
i słyszę furkot owej jazdy,
mijam roztwory coraz rzadsze,
patrzę:
pod stopą mam powietrze.
Wyciągam dłoń po gwiazdy.



Kołuję wokół twego domu,
nad nocą piszę kręgi złote,
a siedem ich naliczysz.

Twój krzyk nie mówi nic nikomu,
bo przecież ty nie krzyczysz.
Strach ci odrąbał ruchy rąk,
gdy napisałem siódmy krag.

Roślinna rośniesz. Stoisz błada.
Zawijam lot nad twojem czołem.
Na szyby bitwą skrzydel spadam.
Zakołysałem się, runąłem.

Zderzam się brukiem, łbem i chwilą
i sen przebijam ten nawylot.

Pęknięta głowa w dłoniach szumi,
i świat parzyście w oczy wsiąka.
Kim jesteś, w jakim błędzisz tłumie,
przez dzień tak długi, jak rozłąka?

MIEJSKIE PORY ROKU

I WIOSNA

Światła miasta, jak jaśminy,
nocą się wilżyły.
W linje, w ljanya, w ziel i w liny,
w gąszcz mnie uwieżyły.

Jasnym kwieciami rozkwitały,
jak wczesne okrzyki.
A przez całą noc śpiewały,
telefony i słowiki.

Od słowika, aż do słowa.
Słowa fruną, jak gołębie.
Biała mowa. Lotna mowa.
W niebie ją rozkłębie.

Jak gołębie, niby wrony,
albo jak skowronki.
Rano cichły telefony
i zakwitły dzwonki.

Zanuciły po mieszkaniach
dzwonki i jaśminy.
W niebo się skowronek wdzwaniał,
dzwoniły godziny.

Jeden dzwonek przenikliwy
zarżał w moim domu.
A czy jestem dziś szczęśliwy,
nie powiem nikomu.

II LATO

Jest niebieska woń benzyny,
kiedy asfalt taje.
Wprost z Warszawy wychodzimy,
w tropikalne kraje.

W wąwóz ulic warstwy piéter,
sypią gruz upalny,
ale zaraz za zakrętem,
dwie wyrosły palmy.

Miasto starte na Saharę,
dyszy w lipcu, jak w pościeli.
Położymy się pod żarem.
Popiół nas spopieli.

Oczy patrzą pod powieki.
Bardzo im czerwono.
Widzą noce, widzą rzeki
i zieleń zieloną.

Wróćmy w cień się spowić prędzej,
miły ptakom, gromom, listkom.
Wezmę pióro, wezmę pendzel,
wymaluję wszystko:

w koło, które płonie minją,
wpiśzę ogniem złotą kulę.
Obie palmy złączę linją
i niech suszą się koszule...

III JESIEŃ

Wicher się nad miastem ślizgał,
białe kręgi w kurzu pisał,
gruzem z chmur wydartym bryzgał,
wszystkie windy rozkołysał.

Zdmuchnął pannę z parasolem,
szarpał nerwy telefonem,
stado wron odrzucił w pole,
potem niebo cisnął wronom.

Zerwij suknię jednym ruchem,
masz ten zygzak w swoich dłoniach
i pomkniemy w zawieruchę,
po pokojach, jak po błoniach.

Windy biją, niby dzwony;
z głów sfruwają kapelusze.
Spłoszył wiersz niezakończony.
Okno z trzaskiem zamknąć muszę.

Śmiech odrzucił. Musnął cieniem.
Sufit niebem jest ponurem.
Łza rozbiła się o ziemię.
Nie patrz szklanno. Nie patrz w górę.

Jeszcze się za oknem trzepie,
po kałużach zawieruszy.
Jutro subjekt w smutnym sklepie
sprzeda trzysta kapeluszy.

IV
ZIMA

Dokąd idę z twarzą w śnieżycy?
Czyje łyzy mnie po wargach siekają?
Gdzie jest księżyc świszczącej ulicy?
— Daleko.

Lecą duchy umarłych kwiatów,
na ostre po szybach kwitnienia.
Zapadam się w świat lodowaty,
jak w czarny przerebel milczenia.

To noc. Na okapy i jezdnie,
dzień się ścięło bezniebnie.
A paltu mojemu jest gwiezdnie,
a butom moim jest srebrnie.

Po zamrożonej chrzęszczę jesieni,
lub trafiam stopą w puszyste morza,
dziurawię pęki białych płomieni,
przedzieram się przez śnieżny pożar

i groty nocy i dnie szronowe,
aż pod pogody dłonię wychylę,
by łowić ulotki reklamowe,
rozkołysane, miejskie motyle.

Gonić frunące, kręto, daleko,
a nagle chwytać w zdyszonym biegu.
I ścisnąć mocno, dziwiąc się lekko,
że to jest płatek pierzasty śniegu.

GROTESKA O GRAJKU I WIOLONCZELI

Gdzieś na ulicy nienazwanej,
gdzie trzeźwi trafić już nie mogą,
żeglują nocą szynk pijany
ze śpiewającą w nim załogą.

Bezzębne usta z butli piją,
ochłaj podają tu anieli.
A w kłębach dymu gra nam trio
i płacze łzami wiolonczeli.

Nieboszczyk niski i zielony,
gładzi ją smyczkiem po podbrzuszu.
W butelce pustej toną tony
i oto usta płakać muszą.

Gra tu tak rok i gra dwa lata,
nad wiolonczelą wciąż się karli.
Dawno za drzwiami niema świata,
dawno już wszyscy trzeźwi zmarli.

Lecz raz jak zawsze łzawy grajek,
po wiolonczeli smyczkiem pisze,
a ona nagle łkać przestaje,
ze strun wylewa wielką ciszę.

Knajpa nie widzi, knajpa pije,
smyczek milczenie gładzi pięknie,
a wiolonczela w oczach tyje
i co utyje — to pojęknie.

Dziwnie się oto plecie bajka:
kiedy na ciszę już spojrzeli,
ujrzeli płaczącego grajka,
przy grubiejącej wiolonczeli.

Zanim podano watę, szczypce,
ona zrobiła się pękata
i z wnętrza jej wypadły skrzypce
maleńkie i krzyczące „tata“.

A gdy podrosły i potrosze
nabrały wdzięku, oraz linji,
od trupa kupił je za grosze,
jakiś pijacki Paganini.

ZEBRACY

W południa żółte mają zdechłej nocy zapach.
Śpiewają ponad handlem jakieś dziwy święte.
Jak udreżzone raki pełzają na łapach
po spieczonem korycie rzeczółki wyschniętej.

Płaszczą się na chodnikach na widok przechodni.
Zlizują jezorami pył z szorstkich kamieni.
A skamlą, bo nie jedli. A tańczą, bo głodni.
I wyją do księżycy, że nic się nie zmieni.

Można przechodząc mimo plwać im prosto w twarze,
lub wetrzeć w bruk obcasem dłoń co tak się łąsi.
Stoją we własnym śpiewie, jak kłody w pożarze.
Tarzają się w płomieniach, których nikt nie gasi.

Zwęgleni już doszczętnie, jeszcze długo skwierczą.
Należy ich pozbierać i oprzeć o ściany.
Niechaj nucą cichaczem, niech okropnie sterczą,
niech czekają na czerwień pieśni nienazwanej.

A kiedy wzbierze ona huczącym przyplływem,
o zimowej północy zaśpiewa w śnieżycach,
żebracy wyjdą stadem głośnem i szczęśliwem
boso tańczyć na śniegu w zaułkach księżycy.

ZIEMIA

Wkręca się w swoje obroty, aż wichry pryskają, jak drzazgi.
W pęd wwirowana nawylot jest gorejącym pociskiem.
Białą wpisała się krechę w odfruwające gwiazdy.
Po stycznej do katastrofy krzesze elipsę iskier.

Wpada w rozlane pogody, by je ze świstem dziurawić.
Nagle wiąże się z niebem ostrym zygakiem natchnienia.
W zieleni ziejącej życiem prują się żyły błyskawic.
Trzaskają toczone kolumny, topnieją łuki sklepienia.

Pięściami po krajobrazach! Głucho rymują się gromy.
Westchnienia są fioletowe. Tnie przezroczysta ulewa.
Z drzew ściekają gałęzie. Drżą papierowe domy.
Słońce wybucha z hukiem. Ziemia się śmieje. Dojrzewa.

Kołyszą się morza i serca, trzeszczą pokłady granitu.
Radujesz się jeszcze czerwono, a już granatowe lzy.
Fale się szarpią z księżycem i w dół uciekają ze szczytu.
Obłoki leją się z nieba do wspomnień, jak rzeczne kry.

32



19 A

